

Pełna zwrotów akcji
i chwytająca za gardło powieść.

IAN RANKIN

Steve Cavanagh

ZARZUT



Niewinny klient.
WINNA żona.
Jak uratować oboje?



ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE PLEA

Copyright © Steve Cavanagh 2016
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2025

Polish translation copyright © Grupa Wydawnicza FILIA 2024

Korekta: Dorota Jakubowska, Sabina Raczyńska

Projekt graficzny okładki: www.headesign.co.uk

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Przygotowanie okładki do wydania polskiego: PLUS 2 Witold Kuśmierczyk

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
e-mail: kontakt@wydawnictwoalbatros.com
wydawnictwoalbatros.com



Wtorek, 17 marca

19.58

Pomyślałem, że wszyscy są martwi.

Myliliem się.

Biura kancelarii Harland i Sinton zajmują trzydzieste szóste piętro Lightner Building. Ta jedna z największych w Nowym Jorku firma prawnicza pracuje na okrągło przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Zwykle światła palą się tu cały czas, ale jakieś dwie minuty temu napastnicy zgasili wszystkie. Bolały mnie plecy, a w ustach czułem smak krwi mieszający się z kwaśną wonią spalonego kordytu, wydobywającą się z rozrzuconych wszędzie na dywanie zużytych łusek. Księżyc w pełni oświetlał upiorną smugę dymu, która uniosła się z podłogi i roziała, gdy tylko ją dostrzegłem. Poczułem się tak, jakby moje lewe ucho było pełne wody, wiedziałem jednak, że jestem tylko ogłuszony wystrzałami z broni palnej. Trzymałem w prawej ręce pustego służbowego glocka 19; ostatnie pociski tkwiły w martwym mężczyźnie u moich stóp. Jego nogi spoczywały na brzuchu innych zwłok i w pewnym momencie stwierdziłem ze zdumieniem, że ciała na podłodze pokoju konferencyjnego leżą tak, jakby chciały się pochwycić. Nie patrzyłem na nie; nie mogłem się zmusić, żeby spoglądać na martwe twarze.

Mój oddech był urywany; ledwie wydobywał się z klatki piersiowej. Zimny wiatr z rozbitego okna za mną osuszał pot

na plecach i karku.

Cyfrowy zegar na ścianie wskazywał 20.00. I wtedy zobaczyłem mojego zabójcę.

Nie widziałem twarzy ani ciała, tylko cień kryjący się w mrocznym kącie pokoju konferencyjnego. Nad Times Square trysnęły zielone, białe i złote pióropusze sztucznych ogni; przecinały niebo i kreśliły w pokoju świetlne wzory, dzięki którym ujrzałem mały pistolet tkwiący w pozornie bezcielesnej dłoni w rękawiczce. Ręka trzymała rugera LCP. Chociaż nie widziałem twarzy, ta broń powiedziała mi wiele. Rugery mieszczą sześć naboji kalibru dziewięć milimetrów. Są na tyle małe, żeby schować je w dłoni, i ważą mniej niż duży stek. Są skuteczne, choć brakuje im siły rażenia większych pistoletów. Korzystają z nich ludzie, którzy chcą ukryć, że są uzbrojeni. Tego rodzaju małe pistolety są popularne wśród przedstawicieli organów ścigania jako dodatkowe wyposażenie – są na tyle niewielkie, żeby ukryć je w torebce albo w kieszeni sztygo na miarę garnituru bez rujnowania nieskazitelnej linii marynarki.

Pomyślałem o trzech możliwościach.

O trzech możliwych strzelcach.

Ale niezależnie od tego, który z nich zamierzał do mnie strzelić, nie sposób było namówić go, żeby rzucił broń.

Biorąc pod uwagę moje ostatnie dwa dni w sądzie, każdy z potencjalnych zabójców miał dobry powód, żeby pozbawić mnie życia. Nie wiedziałem, który to z nich, teraz jednak miałem inne problemy niż zastanawianie się nad tym.

Czternaście lat temu przestałem grać rolę oszusta. Kanciarz Eddie Flynn został prawnikiem. I umiejętności, jakie nabył na ulicach, z dużą swobodą przeniósł na salę sądową. Zamiast oszukiwać kierowników stołów w kasynach, bukmacherów, towarzystwa ubezpieczeniowe i dilerów narkotykowych, przebranzowiłem się na oszukiwanie sędziów i ławy

przysięgłych. Lecz nigdy nie klientów. Aż do przedwczoraj.

Lufa rugera skierowała się w moją pierś. Ten ostatni przekręt może mnie kosztować życie.

Zamknąłem oczy, czując dziwny spokój. Nie było tak, jak to sobie wyobrażałem. To ostatnie zaczerpnięcie powietrza nie wypadło dobrze; czułem się tak, jakby podstępem czegoś mnie pozbawiono. Mimo to wciągnąłem głęboko powietrze z dymem i metalicznym posmakiem, który po strzelaniu jest czymś normalnym. Nie słyszałem strzału, nie widziałem błysku z lufy ani odrzutu. Czułem tylko, jak kula rozdziera moje ciało. Nieuchronnie śmiertelny strzał. W tym momencie pomyślałem: jak to się mogło stać, że przyszło mi tu skończyć?

Dlaczego właśnie teraz ktoś do mnie strzelił?

Tak jak w wielu innych przypadkach, początek był błahy. Wszystko zaczęło się czterdzieści osiem godzin temu od wykałaczkii i dziesięciocentówki.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Niedziela, 15 marca

48 godzin do strzału

Wsunąłem klucz do zamka.

Zamarłem.

Coś było nie tak.

Mahoniowe drzwi frontowe do czterokondygnacyjnego, obłożonego piaskowcem budynku, w którym mieściło się pięć biur – w tym moja jednoosobowa kancelaria prawna – wyglądały jak wszystkie inne w tej części Zachodniej Czterdziestej Szóstej. W okolicy było dużo barów, włoskich knajp i elegantszych restauracji, biur rachunkowych i gabinetów lekarskich, jakie można znaleźć stąd aż do Broadwayu. Prowadzące do mojego budynku drzwi z płycinami zostały miesiąc temu pomalowane na niebiesko. Po drugiej stronie mają ręcznie kutą stalową płytę, która może zaskoczyć kogoś, kto myśli, że może je otworzyć jednym kopniakiem.

Taka to okolica.

Jeśli chodzi o zamki w drzwiach, to w tym zakresie nie mam wielkiego doświadczenia; nie noszę przy sobie wytrychów; nigdy ich nie używałem, nawet w poprzednim wcieleniu – oszusta. Wtedy moim celem nie byli zwykli mieszkańcy Nowego Jorku; inaczej niż większość naciągaczy mnie interesowali ci, którzy zasługiwali na sięgnięcie do ich kieszeni. Moimi ulubionymi celami były towarzystwa ubezpieczeniowe.

Im większe, tym lepsze. Uważałem, że to właśnie one są największymi oszustami na świecie i że to im należy opróżnić kieszenie. A żeby oszukać towarzystwo ubezpieczeniowe, nie musisz się włamywać; sami cię zapraszają. W „pertrakcjach” z nimi sięgałem nie tylko do słów; korzystałem też z pomocy rąk, których sprawność przez lata doskonaliłem. Mój ojciec był pod tym względem absolutnym artystą; doświadczenie zdobywał w barach i w metrze. Uczyłem się od niego, a z czasem rozwinąłem sprawność i zręczność operowania rękami i osiągnąłem doskonałe wycucie ciężaru, dotyku i ruchu. Ojciec nazywał to „sprytnymi dłońmi”.

I właśnie one dały mi sygnał, że coś jest nie w porządku.

Wysunąłem klucz z zamka. Potem znów go wsunąłem. I ponownie wysunąłem. Jeszcze raz powtórzyłem te czynności.

Cicho, gładko, tak jak się nauczyłem. Nic na siłę, bez pokonywania oporu. Klucz niemal wślizgiwał się sam, jakby wchodził w krem. Sprawdziłem nacięcia na kluczu: były twarde i ostre jak na nowym. Standardowy zamek patentowy typu Yale z podwójnym cylindrem nosił wokół dziurki ślady zadrapań. Zaraz przypomniało mi się jednak, że facet prowadzący na dole biuro podróży lubi sobie łyknąć bourbona przy porannej kawie. Kilka razy słyszałem, jak gmera kluczem przy zamku, i kiedy pewnego ranka zastałem go w holu, jego oddech omal nie zwalił mnie z nóg. Rok wcześniej nie zauważyłbym tego, bo sam byłbym tak pijany jak on.

Niezależnie od tego, skąd się wzięły zadrapania, fakt był taki, że zamek nie działał tak jak wcześniej. Jeżeli dozorca zmieniłby zamek, mój klucz by nie pasował. Nie czułem żadnego dostrzegalnego zapachu z zamka. Klucz, gdy go wyjąłem, był suchy. A przecież gdyby zamek został spryskany WD-40, musiałby zostać ślad. Tak naprawdę istniało tylko

jedno wyjaśnienie: ktoś musiał sforsować zamek po tym, jak wyszedłem dziś wcześniej rano z biura. Niedziele spędzane w kancelarii były dla mnie złem koniecznym, odkąd tam spałem. Nie mogłem sobie już pozwolić na wynajmowanie mieszkania i biura. Postawiłem więc łóżko w tylnym pokoju.

Właściciela kamienicy nie stać było na założenie systemu alarmowego. Mnie też nie, ale chciałem czuć się w miarę bezpiecznie. Drzwi otwierały się do środka. Uchyliłem je na centymetr i ujrzałem dziesięciocentówkę leżącą w wydrążonej części futryny, z prawej strony od zamka. Drzwi kryły połówkę monety, powstrzymując ją, żeby nie spadła na stopień. Gdy wychodziłem kupić coś do jedzenia, wsunąłem dziesięciocentówkę w szczelinę, którą sam wyźłobiłem szczyrzykiem. Jeżeli ktoś się włamał i usłyszał, jak moneta spada, zorientował się, że to pułapka, i był na tyle ostrożny, że umieścił ją w otworze. Miałem nadzieję, że skupił się tylko na hałasie, jaki zrobiła, gdy spadła, i jej połysku i nie zauważył wykałaczką wetkniętej dokładnie dwadzieścia pięć centymetrów powyżej pierwszego zawiasu, po drugiej stronie drzwi.

Kimkolwiek był włamywacz, starannie ułożył na miejscu monetę, ale przeoczył wykałaczkę, która teraz leżała na stopniu.

Z pięciu biur w budynku trzy były zajęte: agencja podróży w trakcie likwidacji, doradca finansowy, którego nigdy nie widziałem, i podejrzanie wyglądający hipnotyzer, zwykle odwiedzający klientów w ich domach. W niedzielę nie było ich w biurze i nie ma szans, żeby to któryś z nich włożył monetę na miejsce. Gdyby drzwi otworzył jeden z moich sąsiadów, na pewno schowałby monetę do kieszeni i zapomniał o niej.

Upuściłem gazetę i pochyliłem się, żeby ją podnieść. Przykucnąłem i zacząłem wiązać sznurowadła, które wcale tego nie wymagały. Nic z lewej, nic z prawej.

Zawiązując drugi but, zerknąłem na przeciwną stronę

ulicy. Znowu nic. Po lewej przejechało kilka pojazdów: starych importowanych samochodów z zamglonymi szybami; w żadnym z nich z pewnością nie siedział nikt, kto by mnie śledził. Po prawej jakaś para zmierzała do Hourglass Tavern, żeby szybko coś przekąsić przed spektaklem teatralnym. Wkrótce po tym, jak się tu przeprowadziłem, byłem w tym lokalu dwa razy – za każdym razem zamawiałem ravioli z homarem i udało mi się uniknąć ich tajemniczego piwa i firmowego shota, podawanych w naczyniach o kształcie klepsydry. Walczyłem wtedy o każdy dzień abstynencji.

Zamknąłem drzwi frontowe, podniosłem ze stopni gazetę. Postawiłem kołnierz, żeby chronić się przed uporczywym chłodem, i ruszyłem ulicą. W swoim poprzednim życiu miałem wielu wrogów, a podczas uprawiania zawodu prawnika zdążyłem ich nawet pomnożyć. Uznałem, że w najbliższych dniach muszę być ostrożny. Stosując wszystkie znane mi techniki antyinwigilacyjne, zrobiłem pętlę obejmującą trzy przecznice. Skręcałem na chybił trafił w zaułki, przebiegałem na światłach, a kiedy byłem już po drugiej stronie, skręcałem za róg; zerkałem w szyby przejeżdżających samochodów i za pleksiglasowe wiaty na przystankach autobusowych; na chwilę przystawałem, zawracałem i ruszałem własnym śladem. Zaczynało mi być trochę głupio. Nie miałem ogona. Pomyślałem, że może hipnotyzer miał szczęście i ściągnął w niedzielę klienta do gabinetu albo doradca finansowy przyszedł, by opróżnić swoją przepełnioną skrzynkę pocztową lub zniszczyć jakieś akta.

Gdy zobaczyłem swój budynek, nie czułem się już tak głupio. Moje biuro mieściło się na drugim piętrze. Parter i pierwsze piętro tonęły w ciemnościach, ale w oknie mojej kancelarii dostrzegłem światło i nie był to blask lampki nad biurkiem, ponieważ jego snop wydawał się wąski i przytłumiony, a przy tym chwiał się i przemieszczał.

Latarka.

Przeszły mnie ciarki. Głęboko odetchnąłem, wypuszczając z ust mglisty obłok. Pomyślałem, że zwykły człowiek wezwałby policję. Ale nie ja. Kiedy jesteś kanciarzem, rzadko myślisz o wzywaniu gliniarzy. Sam zajmowałem się takimi sprawami. Chciałem wiedzieć, kto jest w moim biurze. W bagażniku mustanga trzymałem łom do opon, nie było jednak sensu wracać po niego na parking, zwłaszcza że nie miałem ochoty paradować z nim po ulicy... Nie mam broni palnej; nie lubię jej, ale w domu mogłem znaleźć odpowiednie narzędzia, których używanie nie budziło mojego sprzeciwu.

Szybko otworzyłem drzwi frontowe, złapałem dziesięciocentówkę, zanim zdążyła dotknąć posadzki, i zdjąłem w holu buty, żeby cicho podejść do skrzynek pocztowych przy ścianie.

W tej, na której widniał napis EDDIE FLYNN, PRAWNIK, było wszystko, czego teraz potrzebowałem.

ROZDZIAŁ DRUGI

Chwyciłem mały kluczyk, zdjąłem go z łańcuszka i przed otwarciem nowej kłódki, którą założyłem, ostrożnie położyłem resztę kluczy na wierzchu skrzynek. Pod stosem szarych kopert i różnych śmieci pocztowych znalazłem mosiężne kastety. Jako nastolatek boksowałem się w mojej parafii. Wiele biednych katolickich dzieci w Nowym Jorku robiło to samo. Zapewne miało to uczyć dyscypliny i sportowych zachowań, ale ojciec nalegał, żebym się tym zajął, z zupełnie innego powodu. Uważał, że jeśli nauczę się, jak pokonać przeciwnika dwukrotnie ode mnie większego, poradzę sobie, kiedy zacznę samodzielnie robić przekręty. Miałem więc ostro ćwiczyć na siłowni, sprytnie kombinować i nie pozwolić, żeby mama się o tym dowiedziała.

Korytarz tonął w ciemnościach i panowała w nim cisza, słychać było tylko dziwne jęki z rur centralnego ogrzewania. Stare schody przeraźliwie trzeszczały. Zastanawiałem się chwilę, zanim ruszyłem na górę, i doszedłem do wniosku, że są jednak mniej hałaśliwe niż winda. Wchodziłem lekko, trzymając się blisko wyłożonej płytkami ściany. To pozwoliło mi obserwować wyższe piętra i minimalizować skrzywienie desek, które bardziej trzeszczały, jeśli postawiło się stopę na ich środku. Czułem chłód kastetów na rękach i ten zimny

dotyk dodawał mi otuchy. Gdy dotarłem do podestu między pierwszym a drugim piętrem, usłyszałem głosy. Stłumione, pomrukujące tony.

Drzwi do mojego biura były szeroko otwarte. Stał w nich mężczyzna odwrócony plecami do korytarza. Za nim widziałem człowieka z latarką skierowaną do górnej szuflady szafki z aktami. Ten w drzwiach miał na uszach słuchawki. Widziałem półprzezroczysty przewód wijący się od ucha do fałd jego czarnej skórzanej kurtki. Nosił džinsy i buty na grubych podszwach. Faceci z organów ścigania, ale z pewnością nie gliniarze. Słuchawki nie są standardowym wyposażeniem nowojorskiej policji i większość glin nie wydałaby stu dolarów, żeby wyglądać profesjonalnie. Budżet FBI uwzględniał słuchawki dla swoich agentów, ale na pewno zostawiliby swojego człowieka na klatce schodowej i nie zawracaliby sobie głowy umieszczaniem dziesięciocentówki z powrotem w szczelinie. A skoro ci tutaj nie byli z FBI ani z policji, to skąd? Wyglądali na dobrze zorganizowanych; nie była to banda ćpunów chcących zdobyć szybki szmal.

Ostatnie kilka stopni pokonałem w kucki. Słyszałem szepetaną rozmowę, ale nie rozumiałem słów. Mężczyzna przy szafce z aktami milczał. W biurze był ktoś jeszcze i to on mówił. Zbliżyłem się na tyle, że głos stał się wyraźniejszy.

– Jeszcze nic?

Człowiek przy szafce otworzył niższą szufladę.

– Nic, co mogłoby być naszym celem – odparł. Oświetlając akta latarką, przerzucał je i niektóre czytał.

„Naszym celem”?

Byłem w szoku. Adrenalina buzowała mi w żyłach. Napięły mi się mięśnie karku, oddech przyspieszył.

Nie mogli mnie widzieć.

Miałem dwie możliwości: wymknąć się, wsiąść do samochodu i całą noc jeździć jak szalony, a potem zadzwonić na

policję z sąsiedniego stanu albo odejść, wskoczyć do pierwszej taksówki, pojechać na Upper East Side do mieszkania sędziego Harry'ego Forda i siedząc bezpiecznie na jego kanapie, wezwać gliny.

Obie opcje pewne, obie sprytne, obie pociągały za sobą minimalne ryzyko.

Ale to nie dla mnie.

Wstałem bez szmeru, pokręciłem szyją, żeby ją rozluźnić, uniosłem prawą pięść i skoczyłem w drzwi.

ROZDZIAŁ TRZECI

Gdy zerwałem się do biegu, mężczyzna w drzwiach zaczął się odwracać. Zaskoczyły go głośne kroki. Kiedy mnie zobaczył, otworzył usta i głęboko zaczerpnął powietrza; oczy mało nie wyszły mu z orbit, instynkt wzięł górę nad wyszkoleniem. Najpierw szok, potem reakcja. Zanim zdążył krzyknąć, ujrzałem, jak walczy, żeby nie spanikować, a jego prawa ręka sięga do kabury u boku.

Spóźnił się.

Nie chciałem go zabijać. Ktoś mi kiedyś powiedział, że to nieprofesjonalne zabijać człowieka, jeśli nie wiesz, kim jest. Gdybym zadał mu cios w twarz albo tył głowy, miałby pięćdziesiąt procent szans, że cios nie okaże się śmiertelny, ale było prawdopodobieństwo, że uderzenie mosiężnego kastetu zmiażdży mu czaszkę, powodując rozległy krwotok, albo czaszka pęknie, kiedy biedak, nieprzytomny, uderzy nią o posadzkę. Biegłem, więc dzięki impetowi siła uderzenia była znacznie większa. Jeśli uderzyłbym go w głowę, zapewne zostałyby załatwiony na amen.

A ja chciałem go tylko unieszkodliwić na jakiś czas.

Był praworęczny.

W ostatniej chwili obniżyłem pięść i zmieniłem cel.

Zadałem miażdżący cios w prawy biceps. Natychmiast rozprostował palce i ręka zwisała mu bezwładnie. Mięsień został

na tyle poważnie uszkodzony, że ramię będzie niesprawne jeszcze przez wiele godzin. Minałem faceta w chwili, gdy z gardła wyrwał mu się pierwszy krzyk.

Jego partner rzucił czytane dokumenty i skierował na mnie światło latarki. Ten był leworęczny i jego uderzenie sparowałem ciężkim mosiężnym kastetem na mojej lewej dłoni. Siła ciosu rozwalila latarkę. Jej żarówka eksplodowała i światło zgasło w deszczu iskier. W tym momencie zobaczyłem jego rozdziawione usta, szeroko otwarte oczy i twarz wykrzywioną z szoku. Tylko że to nie był szok. Trafiłem go kastetem w dłoń i w świetle lamp ulicznych obserwowałem, jak mężczyzna pada na kolana i chwyta się za połamane palce.

– Eddie, przestań! – usłyszałem głos z ciemności.

Zapaliła się lampa na biurku.

– Ferrar, Weinstein, wycofać się – rozkazał mężczyzna siedzący za moim biurkiem.

Po raz pierwszy spotkałem go mniej więcej pół roku temu. To był facet, którego ocaliłem, gdy obaj mieliśmy do czynienia z rosyjską mafią – agent specjalny Bill Kennedy z FBI. Zwrócił się do obu zaatakowanych przeze mnie mężczyzn. Jeden klęczał, zagryzając zęby z bólu, drugi – ten w skórzanej kurtce – tarzał się po podłodze, trzymając się za ramię; broń ciągle pozostawała w jego kaburze.

Kennedy był ostatnią osobą, którą spodziewałem się zobaczyć w moim biurze.

Odchylił się na oparcie fotela i położył nogi na biurku, krzyżując je w kostkach. Spojrzał na swoich ludzi, potem na mnie, wzrokiem pełnym nagany, jakbym stłukł coś, co do niego należy. Granatowe spodnie jego garnituru były nieco podciągnięte, tak że widziałem jedwabne skarpetki i skrawek paska na kostce lewej nogi – bez wątpienia przytrzymującego rugera LCP.

ROZDZIAŁ CZWARTY

– Co to, u diabła, ma znaczyć? – zapytałem.

– Spokojnie. Właśnie zaatakowałeś dwóch agentów federalnych. Jezu, Eddie, to moi chłopcy.

Mężczyzna, który świecił latarką, powoli wstał; jego palec wskazujący był wygięty w niewłaściwym kierunku. Krzywiąc się z bólu, z trzaskiem go nastawił. Nie złamałem mu go, tylko wybiłem. Jego kumpel wyglądał dużo gorzej. Był blady i spocony. Obaj skierowali się do kanapy po drugiej stronie pokoju, naprzeciwko szafy z aktami.

– Nic im się nie stało – rzuciłem. – Przez tydzień będą podcierać tyłki drugą ręką, ale żyją. Ciebie spotka coś gorszego, jeżeli mi nie powiesz, dlaczego włamaliście się do mojego biura. A tak przy okazji, nie można mówić o napadzie, gdy ktoś się broni albo chroni swoją własność przed niepożądanymi gośćmi. Myślę, że mogli cię tego nauczyć w Quantico. Masz nakaz rewizji?

Ściągnąłem kastety i rzuciłem je na stos dokumentów na biurku. Kennedy zdjął z niego nogi i postawił na podłodze. Założył jeden kastet na palce i zważył jego śmiercionośny ciężar.

Po chwili zdjął go i rzucił na stos papierów na biurku.

– Mosiężny kastet, Eddie?

– Przycisk do papieru – odparłem. – Gdzie masz ten nakaz?

Nie odpowiedział, tylko drapał się w wierzch dłoni. Wiedziałem, co to znaczy: był wyraźnie zaniepokojony i wyładowywał ten niepokój na swoim ciele. Skóra wokół paznokci obu kciuków była zaczerwieniona, tam gdzie pracowicie je obgryzał. Był nieogolony i wyglądał tak, jakby potrzebował prysznic, fryzjera i snu. Jego zwykle śnieżnobiała koszula przybrała barwę worków pod oczami, a skóra na czterdziestoletniej twarzy poszarzała i przywiedła. Zauważyłem, że ma za duży kołnierzyk, więc domyśliłem się, że ostatnio dużo stracił na wadze.

Pierwszy raz spotkałem Kennedy'ego, gdy reprezentowałem przed sądem szefa rosyjskiej mafii, Olega Wołczeka. Proces unieważniono i miałem kłopoty. Wołczek schwytał moją dziesięcioletnią córkę, Amy, i więził jako zakładniczkę, grożąc, że ją zabije. Przez pięć miesięcy, które minęły od tego czasu, próbowałem zapomnieć tamte pełne rozpacz godziny. Nie mogłem jednak. Wszystko pamiętałem – przerażenie, gdy myślałem, że ktoś ją krzywdzi, że zgasi jej młode życie i że to wszystko stało się w wyniku mojego błędu. Ta myśl sprawiała, że pociły mi się ręce.

Na sali sądowej Kennedy omal nie zginął, ale w samą porę udało mi się go oddać w ręce lekarza. Rany goiły się dobrze i potem, gdy już kurz pokrył sprawę Wołczeka, pomógł mi uporządkować moje sprawy. Robiłem wiele nielegalnych rzeczy, żeby uratować córkę, i Kennedy to zatuszował. Ale tak naprawdę nie wiedział nawet o połowie z nich i miałem nadzieję, że nigdy się nie dowie.

Kiedy wyzdrowiał po strzelaninie, zaprosił mnie na sylwestra, razem z całą rodziną, do siebie na przyjęcie. Moja żona, Christine, nie chciała iść. Od jakiegoś czasu nam się nie układało i mniej więcej osiemnaście miesięcy temu kazała mi

się – i słusznie – wyprowadzić, ponieważ więcej czasu spędzałem w barach, nocnych sądach i melinach pijackich niż w domu. Ustatkowałem się i znów było między nami dobrze – aż do sprawy Wołczeka.

Christine doszła do wniosku, że to ja naraziłem Amy na niebezpieczeństwo, że nasza córka została uprowadzona przeze mnie. Miała rację. Po jakimś czasie trochę jej przeszło i mogłem częściej widywać Amy, a ostatniej środy, gdy odwiozłem córkę, Christine zaprosiła mnie do domu. Wypiliśmy butelkę wina i nawet trochę się pośmialiśmy. Oczywiście nawaliłem, próbując ją pocałować w drzwiach na pożegnanie. Odwróciła się i położyła mi dłoń na piersi. Za wcześnie, pomyślałem i w drodze do biura doszedłem do wniosku, że pewnego dnia, kiedyś... odzyskam moje dziewczyny. Myślę o tym każdej godziny, każdego dnia.

Na sylwestra do Kennedy'ego poszedłem sam, napiłem się dr peppera, zjadłem trochę wieprzowiny i wołowiny i wcześniej wyszedłem. obrońcy sądowi raczej nie dogadują się najlepiej ze stróżami prawa, oszuści jeszcze gorzej. Ale właściwie lubiłem Kennedy'ego. Mimo uporu i upierdliwości był godnym zaufania, sumiennym agentem, skutecznym w działaniu, i pół roku temu, żeby mi pomóc, zaryzykował swoją karierę.

Teraz, gdy siedział przy moim biurku, widziałem uczciwość w jego poważnej twarzy, gdy zastanawiał się, jak odpowiedzieć na moje pytanie. W końcu sam to zrobiłem.

– A więc nie masz nakazu, prawda?

– Mogę ci tylko powiedzieć, że te małe odwiedziny są dla twojego dobra.

Rozglądając się po biurze, zobaczyłem masywne metalowe walizy postawione w rogu i obok nich coś, co wyglądało jak sprzęt nagłaśniający.

– Nie przeszkodziłem przypadkiem w próbie kapeli

muzycznej? – zapytałem.

– Oddaliśmy ci przysługę, sprawdzając, czy twoje biuro nie jest na podsłuchu.

– Na podsłuchu? Na przeszłość, jeżeli zechcesz oddać mi jakąś przysługę, to zapytaj. No i co, znalazłeś coś?

– Nie. Czysto tutaj. – Wstał i przeciągnął się. – Zawsze i wszędzie nosisz przy sobie przyciski do papieru?

– Tego rodzaju przybory biurowe od czasu do czasu się przydają. Dlaczego nie zadzwoniłeś i nie dałeś znać, że przyjdiesz?

– Nie miałem czasu. Wybacz.

– Co to ma znaczyć, że nie miałeś czasu? Słyszałem, że ten twój kumpel, który przeszukiwał moją szafkę na akta, mówił coś o celu. Więc chciałbym wiedzieć, co naprawdę tu robicie.

Zanim Kennedy zdążył odpowiedzieć, usłyszałem kroki. Otworzyły się drzwi na zapleczu biura i do pokoju wszedł niski mężczyzna koło pięćdziesiątki. Siwa broda, siwe kręcone włosy zaczesane do tyłu i chuda opalona twarz, do tego okulary w czarnych oprawkach. Miał na sobie długi do ziemi czarny płaszcz, niebieską koszulę i czarne spodnie.

– Ochrona – powiedział, jakby odpowiadał na pytanie, które zadałem Kennedy’emu.

Stał z rękami schowanymi w kieszeniach, pewny siebie, agresywny. Swobodnie przeszedł obok Kennedy’ego, usadowił się na moim biurku i uśmiechnął się.

– Panie Flynn, nazywam się Lester Dell. Nie jestem z FBI. Jestem z innej agencji. Ludzie z Biura są tutaj, ponieważ wchodzi w skład oddziału specjalnego, którym dowodzę. Mamy dla pana zajęcie.

– Wspaniale. Zatem skąd jesteście? DEA? ATF? Kabłówka?

– Och, pracuję dla agencji, która nie może działać

oficjalnie na terenie Stanów Zjednoczonych. Dlatego FBI i Departament Skarbu użyczają nam siły roboczej. Departament Stanu jest poinformowany, że działam tu w roli konsultanta. – Gdy się uśmiechał, nad jego ustami tworzyły się głębokie zmarszczki, które biegły niemal do oczu. Zupełnie nie pasowały do jego twarzy, jakby uśmiech nie był u niego czymś nienaturalnym. Akcent Lestera Della brzmiał trochę obco mimo czystej i bardzo precyzyjnej wymowy.

Nie musiałem go pytać, gdzie pracuje – ten uśmiech mówił wszystko. Przynajmniej mnie.

– Nieoficjalnie, panie Flynn, to jest moja operacja. I pewnie już pan się domyślił, dla kogo pracuję. Tak, ma pan rację... dla CIA.

Skinąłem głową i zerknąłem na Kennedy'ego, który obserwował uważnie moje reakcje.

– Nie mamy za dużo czasu, więc będę się streszczał – ciągnął Dell. – Przyszliśmy tu, żeby się zabezpieczyć, mieć pewność, że nikt poza nami nie będzie słyszał naszej rozmowy. Mam dla pana propozycję. Ścisłe mówiąc, mam dla pana sprawę.

– Nie pracuję dla agencji rządowych – oświadczyłem. – Tym bardziej jeśli ludzie z tych agencji włamują się do mojego biura.

– Czyżby? Myślałem, że zależy panu na dobrze płatnym zajęciu. Widziałem na zapleczu kanapę przystosowaną do spania, ubrania, telewizor, szczoteczka do zębów w łazience i stosik tanich książek. Ale nie muszę z tego wyciągać wniosków, bo wiem o panu wszystko. Znam każdy najdrobniejszy szczegół. Jest pan splukany. Mieszka pan w biurze. Na koncie ma pan tylko tysiąc dwieście dolarów. Na pana kancelarii ciąży dług w wysokości trzydziestu tysięcy dolarów, a nie dostaje pan za wiele zleceń.

Pochwyliłem wzrok Kennedy'ego. Skrzyżował ręce na

piersi, kiwnął głową i wskazał Della, dając znak, żebym go wysłuchał.

– Panie Flynn, moja propozycja jest następująca. Spędziłem pięć lat, śledząc grupę bardzo złych facetów. Skończyło się to klęską. Zostałem z niczym. Ale wczoraj los odpowiedział na wszystkie moje modlitwy. Okazało się, że przyjaciel tych facetów trafił do aresztu za coś bardzo złego. Był sądzony i został skazany. Miałem nadzieję, że może uda się go przekonać do współpracy i zawrze układ: on wyjdzie z więzienia, póki jest młody, a ja będę mógł aresztować jego przyjaciół. Problem w tym, że jego adwokat niezupełnie widzi to w ten sposób. Chciałbym, żeby pan przejął tę sprawę i reprezentował tego człowieka. Chciałbym też, żeby go pan przekonał do zawarcia ze mną układu. To leży w jego najlepszym interesie... i w pana też.

Dell zerknął na zegarek i dodał:

– Ma pan dokładnie czterdzieści osiem godzin, żeby pana zatrudnił i żeby zmusił go pan do zawarcia ze mną układu. Jeśli się to panu uda, rząd federalny zrobi dla pana dwie rzeczy.

Wyciągnął z kieszeni piersiówkę, otworzył i wlał porcję do stojącego na moim biurku pustego kubka po kawie. Nie pytał, czy chcę, tylko mi go podał. Sam pociągnął z butelki i mówił dalej:

– Po pierwsze, wypłacimy panu sto tysięcy dolarów. W gotówce. Bez podatku. Nieźle jak na prostą robotę. Po drugie, może nawet dla pana ważniejsze: jeżeli zrobi pan to dla mnie, nie pošlę pana żony do więzienia na resztę życia.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).